



## Mój przyjaciel schizofrenik<sup>1</sup>

*My friend schizophrenic*

MIECZYŚLAW B. KLIMEK

Trzecie stadium, to stadium degradacji – nazwa wskazuje, że następuje tu totalna degeneracja psychiczna, to już ruina. Nie ma już tej osoby, która kiedyś była w tym ciele. Zupełne odcięcie od rzeczywistości. To stadium zwane jest też okresem wygasania, bo wygasają emocje społeczne. Pojawia się trwały rozpad osobowości. To już trwały defekt schizofreniczny, nic się już nie zmienia (z Internetu)

„Jestem twoim przyjacielem...” – zacząłem z rozpędem tyradę zmierzającą do spacyfikowania jego głośnych, przeskadzających grupie wtretów... I zatkało mnie! Bowiem jego gęba rozanieliła się nagle i pojaśniała niezwykle. Rozpromienił się i zamarł z otwartymi ustami. Dzięki temu dotarło do mnie prawdziwe znaczenie wypowiedzianych właśnie słów: do tego mężczyzny, prawie mojego rówieśnika, faceta z czterdziestoletnią bez mała historią życia w psychiatrykach zapewne od bardzo dawna nikt tak nie powiedział. I czy w ogóle...?

\* \* \*

Dziubeńka znam od przeszło dwudziestu lat. Kiedy – początkujący psycholog – trafiłem do tego zakładu, kiedy mi go pokazano, usłyszałem komentarz: „To zejściowa forma schizofrenii, kompletnie *zdefekciały*. To, co mówi, to już tylko sałatka słowna”. Wiadomo: zanik uczuciowości wyższej, odrębny, niezrozumiały dla *normalsów* świat... Wiadomo?!

A Dziubieniek na te opinie co dnia pracuje solennie: dziwaczne zachowania, niezrozumiałe teksty, niezwykle rytuały. Niezborne wypowiedzi gęsto upstrzone przekleństwami (większość brzmi jednak u niego zadziwiająco czysto i niewinnie) i charakterystycznymi powtarzankami. Często mówi o seksie i pieniądzach, ciągle chce uszczęśliwić wszystkich wokół „wagonami pieniędzy”. Jak wielu mieszkańców psychiatryków z oddaniem poświęca się żebractwu: szczególnie namolnie prosi o papierosy (jak większość), leki (to już tylko nieliczni), coś do zjedzenia albo... o cokolwiek („No to daj mi byle co... cokolwiek!”).

Ale ja ciągle wyrażacie pamiętam scenę, kiedy biega z promienną twarzą i rozdaje wszystkim wokół łakocie i przysmaki przywiezione przez rodzinę w trakcie odwiedzin, i to takich raz na parę lat.

W rozmowach często nazywa mnie a to tatusiem, a to Jezusem, czasem uważa mnie nawet za... siebie! Obdarza mnie wieloma tożsamościami i wcieleniami. Siebie zresztą też. „Leczy” ludzi dotykiem, więc nieraz nazywa siebie Harrisem, częściej zaś ojcem Pio. Od lat bez widocznych szkód połyka żarzące się niedopałki (!) i listki doniczkowych kwiatków. Nie cierpi much („Muchy diabły – mówię – muchy to świnię”), gotów je tępić nawet w najbardziej niedostępnych miejscach, wspinając się na poręczne i nieporęczne podwyższenia.

Na poziomie konkretnie wie bardzo dobrze, kim jestem na co dzień, podobnie nie ma wątpliwości co do własnej, „bazowej” tożsamości: zawodu, życiorysu, stanu rodzinnego.

Zdefekciały schizofrenik... Długi czas i ja tak właśnie go spostrzegałem. To sam Dziubieniek doprowadził mnie – krok po kroku – do zmiany tego obrazu. Ten „chory psychicznie” (a raczej jego wizerunek, stereotyp potoczny) bardzo odmienia się, kiedy zostajemy sami, kiedy siadamy obok lub naprzeciwko siebie. Zdarza się wtedy, że pozwala opaść maskom, ochronnemu kostiumowi wariata (od łac. *varius* – inny), i ukazuje twarz zmęczonego człowieka... Człowieka z bardzo trudnym życiem i życiorysem. Człowieka, któremu przyszło przeżyć dziesiątki lat w oddziałach psychiatrycznych, często w niewyobrażalnie nieludzkich warunkach, samotnego, opuszczonego całkowicie przez rodzinę (wcale liczną zresztą i nie nazbyt daleko rozsianą). Ale też człowieka mądrego, obdarzonego talentem do oddzielania ziarna od plew, spraw błahych od ważnych, treści od formy... Który też często ukazuje twarz pogodnego, niekiedy dowcipnego faceta, sprawia wrażenie, że umie się zdystansować do samego siebie (schi?) i życia, łagodnego i pogodnego.

Wystarczy jednak, żeby ktokolwiek wszedł w pole widzenia, a Dziubieniek błyskawicznie zmienia się w „przykładnego wariata” z całym bogactwem psychopatologicznych objawów.

<sup>1</sup> Praca wyróżniona III nagrodą na konkursie literackim zorganizowanym przez Fundację Komunikacji Społecznej oraz Polskie Towarzystwo Psychiatryczne z okazji V Dnia Solidarności z Osobami Chorującymi na Schizofrenię (10 września 2006). Temat konkursu brzmiał: „Razem w pracy – Razem w życiu”. Z uzasadnienia jury konkursu: „Opowieść o „Dziubieńku” jest najlepszym świadectwem tego, jak można zmieniać postawy społeczne wobec chorujących, szczególnie tych, którzy uchodzą za odrażających czy niezrozumiałych. Tekst stawia przed nami wyzwanie – wyzwanie do wrażliwości na człowieczeństwo i dobroć tych, którzy z powodu choroby są odrzucony i marginalizowani. To opowieść o pięknej przyjaźni, w której chory staje się bardziej zrozumiały, a zdrowy przemienia siebie i innych, poprzez przyjaźń z chorym” (red.).

Anegdota głosi, że w czasach głębokiej komuny nawiedzającego nasz zakład leczniczy biskupa Dziubieniek powitał z tłumu czekających przy bramie dziarskim a przyjaznym: „Cześć, ch..., jak się masz?”. Pewnie łatwo wyobrazić sobie tę konsternację i ogólne zażenowanie...

Jego przydomek, ksywka staje się zrozumiała, kiedy trochę go posłuchać: „Dziubeńku” – mówi do każdej spotkanej sympatycznej mu osoby, kiedy jest w dobrym humorze.

Bo też Dziubieniek jest jak czas: tyka wszystkich

\* \* \*

Próbując wycygnąć coś ode mnie, wykazuje zadziwiająco dobrą pamięć: „Daj mi to brązowe, co w zeszłym tygodniu!”. Zwykle to ja nie pamiętam, co to takiego było. Dość łatwo i pogodnie przyjmuje odmowę, z miną mówiącą: „No, zawsze warto spróbować”. Zdarza się czasami, że to ja chcę mu coś dać: owoce, cukierek... Wtedy również jego twarz się rozpromienia, dziękuje z wylewną wdzięcznością, ale i leciutką nutą zażenowania. Każdy prezencik, każdy drobiazg przyjmuje jak cenny dar.

Zazdroszczę mu tej pięknej umiejętności, podglądam i uczę się od niego.

\* \* \*

Przed paru tygodniami spędziliśmy trochę czasu w moim gabinecie, w końcu Dziubieniek zabrał się do wychodzenia. Podeszedł do drzwi, zatrzymał się... i zawrócił:

– Jakoś tak ciężko mi się dziś rozstać z tobą! – rzekł bardzo serio.

\* \* \*

Bodaj przed dwoma laty przed Wigilią, kiedy już wychodziłem z pracy, na korytarzu podeszedł z długimi i kwiecistymi życzeniami świątecznymi:

– Obyś był spokojny o jutro – zakończył. Czy ktoś przed nim złożył mi tak prawdziwie mądre życzenia?

\* \* \*

Siedzieliśmy kiedyś w słońcu, ponad taflą górskiego jeziora, w samym środku cudownie pięknego Beskidu, tak wspaniale widocznego z balkonu trzeciego piętra, łowiąc promienie wiosennego słońca. Naszą leniwą, wolniutką, przetykaną długimi pauzami rozmowę przerwał telefon. Dziubieniek przysłuchiwał się rozmowie telefonicznej mało uważnie.

– Z kim rozmawiałeś? – powiedział, kiedy skończyłem.

– Z kobietą – odparłem.

– Kochasz ją? – zapytał swoim najzwyczajniejszym tonem.

\* \* \*

„Ciężko, nie lekko” – to często powtarzana przez niego fraza. Ton głosu i mimika nie pozostawiają cienia wątpliwości, że w tych słowach zamyka rzeczywistość ciężki bagaż życiowego doświadczenia. Ale w tym, jak mówi, nie ma nic z użalania się, labidzenia i pretensji. To raczej akceptacja, rozumienie i pogodzenie dojrzałego faceta.

\* \* \*

W dniach żałoby po śmierci Jana Pawła II obejrzałem drugą część filmu o ojcu Pio. Obejrzałem z dziubeńkowej inspiracji. Aktor grający niezwykłego zakonnika był uderzająco podobny do ojca Pio z portretów i zdjęć. Mając w pamięci dziubeńkowe działania lecznicze pod szyldem ojca Pio, wyobraziłem sobie... Dziubeńka z brodą! On też wydał mi się zaskakująco podobny do charyzmatycznego zakonnika.

Następnego dnia zapytałem więc:

– Jak to jest, Dziubeńku, kiedy jesteś ojcem Pio?

– Nas jest kilku – odpowiedział, bez cienia wahania poważnym, solennym i zwyczajnym tonem. Jakby mówił o czymś mało znaczącym a oczywistym.

\* \* \*

Całkiem niedawno, wychodząc z pracy, chciałem dać mu truskawki (specjalnie kupiłem więcej), ale nie mogłem go znaleźć. Wychodząc już ostatecznie, zabrałem te truskawki i parę innych owoców z nadzieją, że może jednak spotkam go po drodze. Otwieram drzwi... i wpadam wprost na niego. Kiedy mu dałem te owoce, Dziubieniek z nieco figlarnym zażenowaniem:

– Ooo, jak ja ci się odwdzięczę?

– No znasz chyba takie jedno słowo? – ja na to dydaktycznie.

– Bóg zapłać?! – zapytał po chwilce na poły twierdząco, z tym swoim specjalnym, lekko łobuzerskim uśmiechem.

\* \* \*

Zachciało mi się mieć zdjęcie z Dziubeńkiem. Miałem świetny – jak mi się zdawało – pomysł, żeby było to coś na wzór nieśmiertelnej sceny końcowej z „Greka Zorby”. Dziubieniek na zdjęcie zgodził się bez entuzjazmu, ale zdecydowanie odmówił upozowania. I to wyraźnie widać na naszej wspólnej fotce. Więc to jednak znów on zdecydował o jego kształcie „artystycznym”.

Zaprosiłem go do obejrzenia tego zdjęcia. Oglądał długo (zdjęcie małe, niezbyt wyraźne), po czym skomentował nasze podobne siwizny:

– Dwie białe głowy!

\* \* \*

– Wiesz co, Dziubeńku, chcę coś napisać o nas, o naszej przyjaźni, bo to wydaje mi się ważne. Zgadzasz się, żebym Cię opisał, tak jak potrafię? Może to ktoś wydrukuje...

– Może być – odparł lakonicznie, dopytawszy o parę szczegółów.

\* \* \*

Dwie scenki z Dziubeńkiem z ostatnich dni. Dwa tygodnie byłem z pacjentami na obozie rehabilitacyjnym, weekend spędziłem na konferencji, więc przez prawie trzy tygodnie nie widzieliśmy się. Na pierwsze, przelotne spotkanie zareagował zwyczajnym: „Cześć!”. Kiedy spotkaliśmy się kolejny raz, Dziubieniek nagle... rzucił mi się w ramiona, oświadczając: *KOCHAM CIĘ!*

\* \* \*

Z wykładów profesora Antoniego Kępińskiego zapamiętałem i takie zdanie: „Jeżeli schizofrenik pokocha, to przestaje być schizofrenikiem”.

Kim Ty jesteś, Dziubeńku?

\* \* \*

Nasze spotkania wciąż trwają, porozumienie – takie prawdziwe, na wielu poziomach – rozwija się. Ciekawe, jak wiele jeszcze się zdarzy w tej naszej przyjaźni? Ile jeszcze razem będziemy mogli dopisać do tej historii?

\* \* \*

– Żyj wiecznie – zwykł mówić do mnie Dziubieniek na pożegnanie.

– Żyj i Ty wiecznie, Jasiu, mój stary przyjacielu!

(2005 r.)

### „Mój przyjaciel Schizofrenik” i życie, czyli przedtem i potem

„Piękne to i szlachetne! Ale głupie, bo nierealne!”. Tak mniej więcej, z lekkim przekąsem, powiedziała wiele lat temu moja nauczycielka psychoterapii, do dziś będąca dla mnie autorytetem. A powiedziała to, kiedy się wydało, że w życiu zawodowym chcę wpływać na stosunek tzw. zdrowych do chorych psychicznie, chcę go zmieniać, poprawiać. Tym razem nie wziąłem sobie zbyt jej zdania do serca: w końcu udało mi się już zrobić parę rzeczy niemożliwych, a zresztą – walkę z wiatrakami można uczynić pięknym sensem życia.

\* \* \*

Przez wiele lat wyglądało jednak na to, że ta kobieta miała rację. Korzystałem z różnych okazji – szkoleń, spotkań, warsztatów, integracyjnych zdarzeń... – mówiłem do młodzieży szkół podstawowych i średnich, do personelu medycznego, ale jakoś trudno było dostrzec efekty. W końcu przestałem oświecać, pouczać i apelować do sumień. Skupiłem się na jak najzwyklejszym traktowaniu chorych, z nadzieją nieśmiałą, że może to znajdzie naśladowców. Opuściłem sobie *normalsów*, wolniutko zbliżać się zacząłem do *wariatów*. Po prostu, codziennie... To okazało się łatwe, kształcące i przyjemne. Co rusz spotykały mnie niezwykle niespodzianki ze strony chorych.

Niespodzianki? Właściwie były to całkiem zwyczajne, ciepłe, nieraz serdeczne i mądre słowa i zachowania. Niespodziewane tylko wtedy, gdy wierzy się w stereotypy i uprzedzenia, a lęk przed chorobą psychiczną zabija duszę.

W tym czasie zdarzało mi się, świadomie i nieświadomie, faworyzować ludzi chorych, niepełnosprawnych i kalekich. Często zresztą robię to i dziś, chociaż złagodniałem już w stosunku do zdrowych. Większości zdrowych...

\* \* \*

Po jednym ze spotkań z Dziubeńkiem dumałem sobie melancholijnie, że właściwie szkoda zostawiać te jego pe-

relki, te złote myśli ulotnemu przemijaniu... I zaczął mi kielkować pomysł spisania, wybiórczego wynotowania tego, co zapamiętałem i co dla mnie było najciekawsze. Po jakichś dwóch, może trzech latach zasiadłem do pisania. Wyszedł z tego właśnie ten krótki tekst „Mój przyjaciel schizofrenik”.

A co było później? Od lat publikowałem w lokalnej prasie niewielkie teksty. Ten był jednak dla mnie czymś zupełnie nowym i bardzo, bardzo zależało mi na nim ze względu na siebie, Dziubeńka i ... schizofrenię! Z drżeniem serca i nieśmiałością zacząłem więc pokazywać go najbardziej zaufanym przyjaciołom. W końcu z pełną świadomością pisałem w *poprzek* wielu uznanych, uświęconych poglądów, też – na przekór stereotypom, w dodatku impresyjnie i emocjonalnie. Dopiero po pierwszych dobrych recenzjach z oddali odważyłem się pokazać opowieść wybranym osobom z personelu, zaczynając od tych, które Dziubeńka dobrze i długo znały. Ciekawostką jest dla mnie, że jedyne wyrazy sprzeciwu czy protestu wywołały słowa o „niehumanicznych warunkach psychiatryków”, a protestowały osoby, którym wiek lub biografia nie pozwoliły widzieć warunków panujących w psychiatrycznych molochach w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Ja widziałem i pamiętam do dziś. „Lot nad kukułczym gniazdem” w porównaniu z realiami tamtego czasu w Polsce to wręcz sielanka.

\* \* \*

Niektórzy z tych pierwszych czytelników *oddziałowych* odkryli ze zdziwieniem, że byli obecni w którejś z opisanych sytuacji, widzieli ją i słyszeli, więc z jeszcze większym zaangażowaniem wczytywali się w opowieść. Oni wiedzieli, że jest w całości prawdziwa. Ich reakcje na tekst były tak dobre, że wreszcie postanowiłem poddać się najtrudniejszemu egzaminowi... Najpierw jednak dostało ten tekst do przeczytania dwoje moich nowych przyjaciół z Zielonej Góry – oboje z rozpoznanymi psychozami, ona ze schizofrenią chroniczną. Dopiero to, że ich recenzje były dobre, nawet bardzo dobre (bardzo wam dziękuje, Kochani!), dało mi odwagę do podjęcia najtrudniejszej próby...

\* \* \*

Najpierw – przed niespełna rokiem – przeczytałem tekst samemu Dziubeńkowi, przypominając wcześniej jego zgodę na te zapiski. Ależ miałem tremę! Akurat tego dnia był w marnym stanie psychicznym i somatycznym, nie było widać wyraźniejszego zrozumienia, jednak jego twarz znów promieniała, szczególnie kiedy słyszał swoją „ksywkę” (na potrzeby publikacji nieco ją odmieniłem, ale czytając przywracałem jej oryginalne, dobrze mu znane brzmienie). Nieco później mogłem przekazać Dziubeńkowi niezwykle cenny prezent: pewna zaprzyjaźniona osoba wykonała kilka egzemplarzy „samizdatowej” książki, w której umieszczała opowiadania trójki autorów; ta o Dziubeńku była pierwsza, poprzedzona naszą wspólną fotką – tą samą, o której mowa w tekście. Jeden egzemplarz książki wręczyłem osobiście Dziubeńkowi. Przyjął go ze wzruszeniem, delikatnie... Od razu po obejrzeniu poprosił swoją ulubioną terapeutkę o przechowanie, bo w jego szafce książka miałaby małe szanse przetrwania.

Dopiero po tej Dziubeńkowej akceptacji zdecydowałem się przeczytać opowieść we wszystkich grupach terapeutycznych,

które prowadzę w ośrodku. I właściwie wszędzie została ona przyjęta z ciepłym zainteresowaniem i zrozumieniem. A grupy te składają się praktycznie wyłącznie z przewlekle chorych schizofreników... Jeden tylko pacjent zapytał: „Nie za mocno to opisane?”. O dziwo, miał na uwadze ten sam fragmencik tekstu, który nie spodobał się kilku osobom z personelu. Zatem ten schizofrenik upomniał się troskliwie o dobre traktowanie personelu; zatroszczył się o jego samopoczucie.

\* \* \*

Nie wiem dokładnie, ilu czytelników miał dotychczas ten tekst, a dokładałem starań, by było ich wielu... I tak najważniejsze dla mnie są zmiany, do których się przyczynił, zwłaszcza te, które sam mogłem zobaczyć i usłyszeć.

Kiedy więc tekst zaczął krążyć po oddziale, część personelu zaczęła nagle inaczej postrzegać Dziubeńka, co przełożyło się na wyraźnie inny odcień stosunku do niego. Przestał być tylko pacjentem, stał się też interesującą, wielowymia-

rową, ciekawą osobą! Tak właśnie: osobą, człowiekiem! Zdarzało się (i zdarza nadal), że przychodzą do mnie na skargę: „Pański przyjaciel pali w sali, niech pan coś zrobi”. Bywa, że interweniują tak zarówno pacjenci, jak i personel. Jednak wyraźna zmiana w tonie, w traktowaniu, w kontakcie z Dziubeńkiem jest ciągle widoczna. A ja wierzę – mam mocne przesłanki tej wiary – że to początek zmiany społecznej; zmiany, która od tak dawna była moim marzeniem. Wierzę również, że zmiana stosunku do jednego chorego – jak kręgi na wodzie – musi odmieniać, zabarwiać niepostrzeżenie stosunek do innych chorych.

A on? On to natychmiast poczuł i zaczął z tego korzystać! Zaczął swoje złote myśli wygłaszać publicznie, publicznie już okazywać ludziom sympatię, coraz częściej zrzucić maskę wariata. Człowiek w Dziubeńku wyraźnie wypiera pacjenta. I mimo postępów paru chorób, ze schizofrenią na czele, mimo pojawiającego się zniedołężnienia, ta nasza wspólna historia ciągle rozwija się... i działa!

– *Co jeszcze nam się uda razem, Jasiu?*

(2006 r.)